DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO“

Rok XXIX — Berlin, niedziela, dnia 18-go stycznia 1925 r. — Nr. 3

Pocztyljon.

Tu piją i gwarzą, ty jeden w tej wrzawie
Wyglądasz jak jeniec w niewoli; —
Weź czarkę, weź lulkę, siądź tutaj na ławie
I powiedz, co ciebie tak boli?

Ni dzwonek, ni trąbka, ni krasne dziewczęta
Nie mogą rozerwać twej nudy,
Dwa lata tu żyjesz, a nikt nie pamięta,
Ażebyś był wesół, jak wprzódy.

— O! bo też mi gorzko, bo smutno mi wszędzie,
Niemiło na świecie, niemiło!
Daj czarkę! przy czarce odważniej mi będzie, —
Posłuchaj, co mi się zdarzyło:

Gdym przystał na pocztę, zbyt jeszczem był młody,
Lecz dusza dość miała swej mocy;
Nie znało się wprawdzie wygody, swobody,
Nie było ni święta, ni nocy.

Od rana do zmroku, od zmroku do ranka
Woziłem pakiety i pany, —
Dostałem złotówkę, — o! wtedy hulanka,
Wesoły, i syt, i pijany!

Zwodziłem dziewczęta, skarbiłem przyjaciół,
Z pisarzem jak z równym — i kwita;
I konie mię znały — jak gwizdnął, jak zaciął,
Rwą moje siwaki z kopyta.

Wesoło wieźć pocztę! zatrąbię na moście,
Tu kogoś się spędzi, tam spotka,
Tu wiozę panicza, tu młode jejmoście,
O! wtedy pewniutka dwuzłotka!

Lecz serce me jednej oddałem dziewczynie, —
Mieszkała w wioseczce o milę,
Bywało, wracając nigdy się nie minie,
Choć krótką przepędzę z nią chwilę.

Raz woła mię pisarz w północnej coś porze,
Budzę się natychmiast, przychodzę.
A była to zima, mróz tęgi na dworze,
Zawieja, sumioty na drodze.

„Powieziesz sztafetę! — Oj, licho przywiodło!“
Tak sobie odchodząc mruczałem.
Za pakiet, za trąbkę, za konia, za siodło,
I w moment puściłem się cwałem.

A tutaj wiatr świszcze, śnieg kręci, i ciemno,
A przytem okrutne bezdroże;
Dwa słupy wiorstowe mignęły przedemną,
Podjeżdżam pod trzeci — o Boże!

Wśród wichru poświstów głos z płaczem zmieszany
Wbok drogi gdzieś woła pomocy;
Myśl pierwsza — pomogę! ktoś pewno zbłąkany
Brnie w śniegu i zginie wśród nocy.

Zwróciłem już konia — wtem jakby mi zda się,
Ktoś szepnął: „A tobie co potem?
Strach serce ogarnął, zaledwiem mógł dyszeć,
Pot zamarzł kroplami nad czołem;

Ot, lepiej, godzinkę zyskawszy na czasie,
Odwiedzić swą dziewę z powrotem“.
Jam w trąbkę uderzył, by jęków nie słyszeć,
I dalej siwego zaciąłem.

Wracałem o świcie, — trzy wiorsty do domu
Duch zamarł, a serce szepcąc pokryjomu,
Stukało, jak dzwonek rozbity.
Przy słupie koń czmychnął — zjeżyła się grzywa —

Strach znowu ogarnął mię skryty:
Na drodze, pod płachtą powiewną,
Pod warstwą sumiotu — kobieta, nieżywa,
Skostniała, bezwładna jak drewno.

Strząsnąłem płat śniegu na białej jej szacie
I trupa wywlokłem na drogę;
Otarłem śnieg z lica — to była... Ach! bracie,
Daj czarkę, dokończyć nie mogę.

Zaćmienie słońca.

Pierwsze, poważniejsze w tym roku zjawisko astronomiczne przypada na dzień 24 stycznia. — Będzie to zaćmienie słońca, którego początek przypada na godzinę 12.41 popoł., zaś koniec 5.06 popol. czas według Greenwich.

Zaćmienie będzie widoczne w północnej Ameryce, w północnej części Ameryki południowiej, w oceanie Atlantyckim, w Zachodniej Europie i północnej Afryce. Całość zjawiska będzie można obserwować jedynie w północnej Ameryce i na oceanie Atlantyckim.

Amerykańskie obserwatorja czynią już przygotowania na wielką skalę. — Po raz pierwszy w dziejach astronomji praktycznej użyte będą olbrzymie sterowce typu Zeppelina, „Shenandoah“ i „Los Angelos“ (dawny Z. R. 3), dla dokonania szeregu zdjęć fotograficznych i filmowych.

Badania będą głównie dotyczyć natężenia światła słonecznego, jakoteż wpływu na atmosferę ziemską. Równocześnie badana będzie widoczność gwiazd i planet.

Zachowując pełne stanowisko krytyczne w stosunku do astrologicznych przepowiedni, podajemy je jednak dla uzupełnienia całości ludzkiej wiedzy o słońcu.

Więc zaćmienie to przypada na 4-ty stopień znaku Wodnika. Okres działania trwa bardzo długo, silniej zwłaszcza wystąpi w drugiej połowie roku. Wpływ fatalny ma odczuć przedewszystkiem kontynent amerykański.

„Dotknięte“ zaćmieniem słońca państwa względnie kraje muszą się liczyć z silnym wzrostem śmiertelności, powiększeniem drożyzny, trzęsieniami ziemi, katastrofami wodnemi, strajkami etc. — Ba, więcej jeszcze, śmierć wysoko postawionej osobistości, zawikłania wojenne na Wschodzie, operacje wojskowe na Zachodzie. Zapamiętać sobie należy, iż znakowi Wodnika podlegają Rosja, Polska, Niemcy, Szwecja, Rumunja i Abisynja.

Czekajmy, a obaczymy... bo to jak w kabale, na dwoje babka wróżyła.

Wybuch gazów w kopalni węgla.

Zmęczeni górnicy stali i odpoczywali. Wtem jeden z nich, stojący u wejścia chodnika, szybko się cofnął, kaszląc uporczywie. „Zaleciało coś z chodnika i tak mnie ścisnęło“ — powiedział do towarzyszy. Drugi górnik podszedł do chodnika, ale zaledwie wychylił głowę, cofnął się prędko i zawołał przytłumionym głosem: „Złe powietrze!“ Po uspokojeniu kaszlu wszyscy nasłuchiwali chwilkę. Z głębi chodnika dolatywały jakieś niewyraźne, przytłumione głosy trwogi i rozpaczy. Milczeli pełni przerażenia. Jeden z nich podniósł lampkę wgórę i wtedy spostrzegli małą, ale wyraźną smugę szarą, która napływała do chodnika.

Z krzykiem „ratujcie się“ wbiegli na chodnik, kaszląc w dusznem i pełnem swędu powietrzu. Po drodze spotykali grupy górników, którzy bez czapek, z rozwianym włosem, z pogaszonemi lampkami, ustawali w biegu, padali, znów się podnosili, krwawili sobie twarze, ciało na twardych ścianach i spodzie chodnika, ale posuwali się dalej.

Gnani strachem, nieprzytomni z przerażenia, wściekli żądzą uratowania życia, pchali się w podszybie, mimo tlejącego żaru i dymu, który wchodził szybem.

Pierwszeństwo zależało tylko od siły pięści. Wszczęła się zajadła bójka, bezwględna dla słabszych, których odrzucano, przewracano, deptano, aby być bliżej szal.

Zjechały nareszcie szale, na które rzucono się tłumnie. Dwudziestu kilku szczęśliwców odjechało po zaciętej bójce. Po kilku minutach, szale zjechały znowu i znów zabrały kilkudziesięciu górników. Następne szale wróciły na górę puste. Odurzeni wyziewami dymem, omdleli górnicy w podszybiu.

W pół godziny później zjechał sztygar z górnikami do podszybia. Zobaczono narazie zwał ludzi, leżących, zdawało się, bez życia.

Zaczęto ich ładować na szale i posyłać do nadszybia, gdzie doktór i felczer czekali ze środkami ratunkowemi; cucili i opatrywali zemdlałych, oszołomionych, poranionych górników.

Gdzie logika?

— Tatusiu, co to znaczy nocna restauracja?

— To jest taka restauracja, z której goście wracają w biały dzień.

IWAN CANKAR.

Ave Caesar ..!

(Ze słowieńskiego przeł. D. Królikowski.)

Już dość dawno, odkąd sny moje — a może i sny ludzi innych — przybierają kształty odmienne, nowe.

Nie są to sny dawniejsze, rozpływające się w nicość i bezkształt, sny, które człowiek widzi nad ranem oczyma półsennymi. Z niechęcią odgarnia je dłonią a one groteskowe straszące zapadają się w otchłań niepamięci i kryją się jak ptaki nocne w lesie przed światłem dziennem.

Sny, które mi się śnią teraz i które ty śnisz, są cieniem tajemniczym prawdy . . .

Zapewne, że formy ich są rozwichrzone, linie pogmatwane, jednakowoż widne w nich oblicze prawdy. Dostrzegasz ją i zdejmuje cię lęk i smutek.

Był to chłodny ranek jesienny, doliną płynęły mgły i pięły się ku stromym górom. Na szczytach lśnił w blaskach zorzy biały śnieg, co spadł po raz pierwszy nocą. Niebo było pogodne. Były na nim refleksy śniegów co spadły o północy i refleksy bladych i zimnych świateł gwiazd porannych. Spoglądałem oknem, którego szyby pokryte były pyłem, jednakowoż rozróżniałem wszystko dokładnie, co się przedemną rozgrywało.

I głosy miały w czystem powietrzu rannem dźwięki tak wyraźne, że można było każde słówko słyszeć i rozumieć.

Dziedziniec pokryty był grubą warstwą czarnego pyłu, który zmienił się nocą w błoto.

Pył leżał na dachach nizkich baraków i na zwiędłem liściu drzewa orzechowego, stojącego samotnie w dziedzińcu. Pod drzewem trzymał żołnierz osiodłanego konia, drżącego i parskającego z chłodu i niepokoju.

W długiej prostej linji stała kompania, gotowa do wymarszu w tej jeszcze godzinie.

Żołnierze stali nieporuszeni. Smukłe ich ciała pod ciężarem tornistrów były nieco pochylone. Nigdy przedtem na przestrzeni tak małej nie widziałem tyle młodości i piękna.

Twarze ich były prawie dziecięce i wszyscy tak świeży, jakby ich zorze i rosa poranna wykąpały. I w oczach ich lśniła się rosa, oczy te patrzały jakby z dali odległych, jakby z pięknych snów i marzeń.

Oczy wszystkich zwrócone były na pana kapitana, kroczącego powolnie i niedbale przed niemym frontem kompanji mającej za chwilę ruszyć do boju.

Kapitan był olbrzymiego wzrostu, więcej niż o głowę wyższy od skrzydławego, otulony w czarny długi płaszcz z pod którego widać było cienkie, długie nogi.

W ręce, która nawet w rękawicach wyglądała jak kość lub szpona drapieżnego ptaka, trzymał laskę; chodząc na lasce się opierał.

O krok za nim postępował młody podchorąży, oglądający się co chwilę trwożliwie poza siebie, jakby chciał zbiedz daleko, od miejsca, wiedząc jednakowoż, że do niego jest przykuty bez miłosierdzia.

Pan kapitan rozpoczął przegląd od nowa.

Stanął przed pierwszym szeregowcem w kolumnie.

Był to żołnierz wysoki smukły, patrzał przed siebie w milczeniu.

Kapitan przystąpił bliżej.

— Jak się nazywasz?

Szeregowiec powiedział nazwisko.

Wówczas, jakby coś duszą moją szarpnęło: ja cię znam przecież, ty piękny młodzieńcze, co masz duszę słoneczną, serce złote i spoglądasz pełen nadziei w wielką różaną przyszłość, co się przed tobą roztacza ponętna i świetlana. Jest on mężem pomiędzy różnymi sobie, posłusznym jak dziecię małe wobec mędrców sędziwych! Gałąź żywa na drzewie, którą gdy odetniesz drzewo żyć nie będzie . . .

Kapitan pytał dalej.

— Czy masz ojca w domu?

— Nie.

— Czy masz braci lub siostry?

— Nie.

— Ale przecież masz matkę?

— Tak.

I oczy mu zajaśniały na jej wspomnienie. Wtedy kapitan uniósł laskę, dotknął gałką metalową piersi młodzieńca i skinął na podchorążego, stojącego obok.

Podchorąży wydobył z kieszeni księgę z zapiskami i drżącą ręką wpisał do niej nazwisko młodzieńca.

Twarz żołnierza pokryła się śmiertelną bladością. Kapitan przeszedł obok drugiego nie spojrzawszy nań; przystąpił do trzeciego, zatrzymał się i począł przyglądać się bacznie.

Był to młodzieniec pełen wesela w duszy, lubiący dużo mówić, głośny i żywy, cieszący się sławą śpiewak i — ulubieniec dziewcząt.

Miał twarz pełną, o cerze zdrowej i złote kędziory, a jego oczy błękitne śpiewały cudowną pieśń życia, zaś purpurowe usta wiecznie się śmiały.

— Czy masz narzeczoną w domu?

— Wedle rozkazu panie kapitanie, mam.

I jeszcze cudniejszą jego oczy zanuciły pieśń życia; pieśń ta popłynęła gdzieś w zbłękitnione dale.

Kapitan uniósł laskę, dotknął gałką metalową piersi młodzieńca a podchorąży w notesie zapisał nazwisko śpiewaka.

Pieśń w oczach chabrowych zamarła. . .

I tak przechodził kapitan wzdłuż długiego frontu badał, pytał i wybierał.

Często przechodził milcząco dwóch lub trzech, na innych nie raczył spojrzeć nawet, a czasem z kolei zapisywał pięciu lub sześciu.

Miałem to wrażenie, że wybiera jakby z rozmysłem tych, tkórzy są najsilniejszymi najżywszymi i najpiękniejszymi.

Kapitan przeszedł cały front, do ostatniego szeregowca i poraz ostatni podniósł laskę i poraz ostatni dotknął gałką metalową piersi żołnierza i odwrócił się. Wtedy ujrzałem jego twarz i serce mi bić przestało.

Twarz nie miała na sobie ani skórv ani ciała, w miejsce oczu oczodoły ciemne w czaszce, długie ostre zęby wystawały ze szczęk potężnych . . .

Była to śmierć.

— Naprzód . . . w pochód.

Kompania zrobiła nagły zwrot i krokiem miarowym pomaszerowała tam, gdzie kłębiły się mgły.

Przed nią jechał pan kapitan.

Ponad mgłą powiewał w wichrze jego płaszcz czarny.

O kościołach warownych.

Niespokojne czasy były w Polsce przed lat tysiącem. Ciągłe napady wrogów ościennych zmuszały ludzi do wyszukiwania sobie miejsc bezpiecznych i schronisk niedostępnych. Budowano też ogrody obronne, otoczone wałem i rowem, ponad którym sterczał ostrokół, czyli jakby parkan, nie z desek, lecz wbijanych lub wkopanych słupów dębowych lub sosnowych, u góry zaostrzonych. Z poza takich wałów bronili się mieszkańcy, strzelając z łuków, rzucając kamieniami i polewając wrzątkiem nieprzyjaciół. Oblężeni mogli nieraz bardzo długo się trzymać, jeżeli posiadali wodę i żywność.

Zczasem, kiedy narzędzia wojenne zostały ulepszone, kiedy wynaleziono proch, a za nim broń palną ręczną i armaty, ostrokoły już nie wystarczyły. Trzeba było wynaleźć coś mocniejszego. Zaczęto więc budować miasta murowane i zamki obronne z cegły lub kamienia. Niektóre zamki były wykute w spale. Zamki obronne budowali królowie, książęta i możni panowie. Zamków było dużo na ziemiach polskich, niektóre do dziś jeszcze dobrze się zachowały, a z innych pozostały tylko ruiny.

Nietylko jednak grody i zamki służyły za miejsce obronne i schroniska. W piewszych wiekach chrześcijaństwa bardzo wiele kościołów i klasztorów było miejscami obronnemi. Kościoły takie znajdowały się i na naszej ziemi polskiej. Budynki ówczesne mieszkalne były najczęściej z drzewa, kościoły zaś z kamienia i cegły, i dlatego dawały one schronienie okolicznym mieszkańcom w czasie napadów. Niektóre świątynie były prawdziwemi fortecami, posiadały po parę pięter, z których część dolna przeznaczona była na obrządki religijne, górne zaś części na skład broni i wszelkiej amunicji wojennej. Na najwyższem piętrze było dookoła otwarte miejsce dla strzelców.

W Polsce kościoły zaczęto budować później, niż na zachodzie Europy, wtedy, kiedy już budowano kościoły z wieżami. Wieże kościelne były wtedy głównie do obrony i nie miały głównego wejścia od strony frontowej u dołu, lecz gdzieś z boku, a otwory te były niewielkie, żeby trudno było wtargnąć do środka.

W czasach wojennych w kościołach gromadziła się ludność z bronią. Gdy w czasie napadu zdobyto ostatnie szańce i wtargnięto nawet do środka, załoga, chociaż niezbyt liczna, zamykała się w wieży i wytrzymywała oblężenie; w wieżach były wtedy nagromadzone zapasy żywności i broni, znajdowały się też studnie. Ślady takich studzien zachowały się do dziś w niektórych kościołach.

Przy kościołach znajdowały się cmentarze, otoczone murem, dawały schronienie okolicznej ludności w czasie wojny; niekiedy miały podziemne przejścia, prowadzące daleko poza miasto.

Kościołów i cmentarzy warownych najwięcej było na Rusi, wystawionej na najazdy tatarskie, tureckie i kozackie.

Przypowiastki żartobliwe.

1.

— Dałeś koniowi obroku?
— Dałem, panie.
— Oczyściłeś go?
— A jakże!
— No to zaprzęgaj!
— Dobrze, ale proszę pana, gdzie on stoi?

2.

Gdy raz pewien ksiądz mówił kazanie i przez pomyłkę zamiast „Kain zabił Abla“, powiedział, iż „Abel zabił Kaina“ — Mazur jeden, słysząc to, rzecze nagłos w kościele z radością: „A dobrzeć mu tak, bo też wprzódy zabił Kain Abla“.

3.

Była sobie wioska w tak głębokich lasach, między błotami i lasami położona, że w niej nigdy żołnierzy nie widziano i o wojnie nie słyszano. Ale zdarzyło się, że był w tej wiosce jeden parobczak, który w świat powędrował, był na wojnie i z wojny do wsi rodzinnej powrócił. Otoczyli go wszyscy i z niezmierną ciekawością wypytywali się, co to jest wojna i co na wojnie ludzie robią? A najciekawsza ze wszystkich była jego matula:

— Mój Anteczku, kochaneczku, gdzieżeś bywał, jak się miewał... a cóż wy tam na tej wojnie robicie?

— A jużci kolem, bijem, sieczem, rąbiem i strzelamy.

— Oj warjaty, warjaty i swawolniki! — rzecze baba — jeszcze, broń Boże, w oko jeden drugiego urazić może.

4.

Pewien gość, nie mając ochoty powracać do domu w noc srodze ciemną, ociągał się z wyjazdem; ale skąpy gospodarz chciał mu dodać otuchy i rzecze: „Oj, jeździłem ci ja nieraz w daleko ciemniejsze noce, powracając do domu“.

A gość na to: „Ale też to kiep był ten gospodarz, co waszmość pana wypuszczał z domu swojego“.

5.

Przyniósł raz chłop do króla głowę kapusty wielką jak ceber, bo król dawał nagrody za osobliwsze rzeczy. Ale, że do króla przystęp niełatwy, więc jeden z dworzan pokojowych mówi do wieśniaka: „Dasz mi połowę nagrody, to będziesz dopuszczon do króla!“ Chłop mówi: „Dam“. — Jakoż niebawem król nad kapustą się dziwował, a pracowitemu gospodarzowi rozkazał dać ze swej szkatuły 10 dukatów. Lecz chłop powiada, że w dodatku pragnie dostać 10 batów. Na usilną prośbę przystano, a wtedy mądry kmieć rzecze do pokojowca: „Mamy teraz czem dzielić się napoły: ja wezmę 5 dukatów i 5 batów i waszmość pan tyleż dostaniesz, a teraz kładźmy się oba“. Dworzanin jakby mydła zjadł, wyrzekł się dukatów i czmychnął.

Rozmaitości.

Cenny Autograf krolowej Wiktorji. Obecny król angielski, Jerzy V., bywał czasu swej złotej młodości, niejednokrotnie w wielkich tarapatach pieniężnych. Zwracał się wówczas do dobrej babuni, królowej Wiktorji, błagając o skromne zaliczki na rachunek przyszłości.

Królowa, która umiała z równym rozumem wychowywać swego wnuka, jak rządzić państwem, odpisała Jerzemu na jeden z jego łzawych listów o pieniądze, że nie może na nią bezwarunkowo liczyć, że to co mu wypłaca minister dworu na jego miesięczne wydatki powinno najzupełniej wystarczyć. Nie, nietylko wystarczyć! Jerzy mógłby robić nawet pewne oszczędności!

Na temat tych oszczędności królowa rozpisała się szeroko, nie szczędziła wnukowi rad, jak należy postępować, by związać koniec z końcem, przestróg, powoływała się na najświetniejsze przykłady.

Na ów list Jerzy odpowiedział dłuższem milczeniem. Ale pewnego dnia nadesłał swej babuni dużą listu od niej, nietylko sobie poradził, ale gdyby zechciała, radziłby tak częściej. List jej, tak wymownie nawołujący do oszczędności sprzedał, jako osobliwy autograf, otrzymał zań sporą sumę — i wydał ją.

Królowa, dotknięta niefrasobliwością wnuka wydała rozkaz, by od tej pory, ilekroć napisze do Jerzego, list jej był mu zabierany zaraz po przeczytaniu.

Pływający uniwersytet. Amerykanie urządzili teraz pływający uniwersytet.

Na wielkim parowcu „Księżniczka Alicja“ urządzono sale wykładowe i pensjonat na 400 studentów wraz z odpowiednią liczbą profesorów.

Ów pływający uniwersytet będzie odbywał podróże w rozmaite strony świata, podczas gdy równocześnie będą się odbywały wykłady.

Nacisk główny położono na wykłady geografji, historji, sztuki, kultury, botaniki i zoologji.

Pierwsza podróż „Księżniczki Alicji“ ma za cel Japonję, Chiny i Indje.

Druga podróż będzie obejmowała Włochy, Algier, Tunis, Hiszpanję, Grecję i Włochy.

Trzecia podróż Anglję, Francję, Holandję, Niemcy i Kraje Skandynawskie.

Największe kościoły świata. Największym kościołem świata jest kościół św. Piotra w Rzymie, mieszczący 54 tys. osób. Katedra medjolańska ma miejsca dla 37 tys. osób, św. Pawła w Rzymie — 32 tys., katedra kolońska — 30 tys., św. Pawła w Londynie i Petronjusza w Bolonji — 25 tys., św. Zofji w Konstantynopolu — 23 tys., św. Jana Laterańskiego w Rzymie — 21 tys., nowa katedra nowojorska — 17500, katedra pizańska i kościół św. Stefana w Wiedniu — 12 tys., kościół Marjacki w Monachjum — 11 tys., kościół św. Marka w Wenecji — 7 tys.

EGON JACOBSON.

Morderstwo.

W obecności zalewającego się łzami kamerdynera komisarz policji kazał wyważyć drzwi sypialnego pokoju. Cała willa była już zaalarmowana. Na podłodze obok łóżka leżał złoty zegarek kieszonkowy. Zegarek był zdruzgotany i maleńka kula rewolwerowa tkwiła w dywanie. Drzwi od szaf były powylamywane, zawartość szaf w najwiękzszym nieładzie. Szyba okna była od zewnątrz wybitą. Odłamki szkła pokrywały podłogę. Drzwi były od wewnątrz zamknięte. Lampka nocna płonęła jeszcze u wejścia do łazienki. To było wszystko.

Gdzie znajdował się doktór, właściciel willi?

Napadnięty został, wywleczony, zamordowany? Kamerdyner, gdy już trochę się uspokoił wyjaśnił, że zostawił wielmożnego pana, jak zwykle o godzinie 10 w łóżku, wysłuchawszy życzeń na dzień następny i zapaliwszy lampę u wejścia do łazienki. Później udał się do swego pokoju. Gdy dzisiaj rano, o wyznaczonej godzinie, do pokoju zastukał, nikt mu nie odpowiedział. Stangret zauważył, że okno pokoju sypialnego było rozbite, przedostał się przez okno do pokoju i zobaczył pusty pokój w nieładzie. Bezpośrednio potem zawiadomiono policję.

Komisarz sfotografował pokój, zabronił wszystkim wstępu. — Siadł przy biurku, przeszukał wszystkie szuflady i skrytki. Nadaremnie! Rachunki, kwity, notatki. Nic podejrzanego. Wraz ze swymi funkcjonarjuszami przeszukał wszystkie pokoje. Nie przeoczono nawet najmniejszego kąta. Służba przesłuchana została ponownie, później. Powtarzali jedynie pierwotne swe zeznania. Sprowadzono przyjaciół. Nie mogli nic powiedzieć. Nie domyślali się nawet, gdzie zaginiony mógł się znajdować. Żył na wielką stopę, lecz przyjmował tylko najbliższych przyjaciół; był niezwykle ostrożny.

Przyjaciele — byli to wyłącznie bogaci, szanowani ludzie. — O morderstwo — bowiem morderstwo tylko mogło wchodzić w rachubę — nie można ich było w żadnym wypadku podejrzewać.

Cui bono? — zapytywał się sam siebie komisarz dniami i nocami. Kto mógł mieć w tem interes, by doktora Wöhrmanna w nocy z jego pokoju wywlekać w niewiadome miejsce? Kto?

Miasto, prowincja, później kraj cały przejęty był wypadkiem. Pojawiały się wieloszpaltowe rozważania. Podobiznę doktora pomieściły wszystkie dzienniki. Wszystko nadaremnie!

Pewnego wieczoru młodziutki asystent komisarza, przeprowadzając na własną rękę poszukiwania w ogrodzie, znalazł, w ziemi zagrzebane, szkiełko od binokli.

Znalazł je w tem samem miejscu, w którem już w czasie pierwszych poszukiwań zatrzymał się pies policyjny, który węszył długo, poczem przez mur ogrodu przeskoczył na podwórze sąsiedniej willi.

Młody detektyw stwierdził, że szkło było szkłem krótkowidza. Pobiegł do mieszkania. Wziął szkło pod mikroskop. Krew!

Mały punkcik z wielokątnemi poszczerbieniami. Niczem futurystyczny rysunek.

Nie mogło być wątpliwości: Doktór Wöhrmann przychwycił włamywacza w swym pokoju, pobiegł za nim przez okno do ogrodu, stoczył z nim walkę w miejscu, w którem szkło zostało znalezione, ranił go... Lecz czyż zawodowi włamywacze noszą wykwintne binokle, na które szkło znalezione wskazywało?

Nie!

W takim razie szkło należało do doktora?

Poinformował się.

Lecz nie! Doktór binokli nie nosił.

Nosił jednak binokle i to właśnie tego samego numeru, jaki wykazywało znalezione szkiełko, siostrzeniec doktora, z którym z powodu kobiety, doktór pozostawał w jaknajgorszych stosunkach — wyjaśniła kucharka, która służyła od lat dwunastu u doktora.

Asystent udał się teraz do komisarza, zakomunikował mu o odkryciu i o dalszych wnioskach. W cztery godziny później siostrzeniec siedział w areszcie, oskarżony o morderstwo. Że też — uderzał się dłonią po głowie komisarz — nie pomyślano dotychczas o rodzinie i krewnych zaginionego! Nikt również nie wspomniał ani słowem o tem, że doktór miał wogóle rodzinę!

Znowu przydała się na coś kucharka.

„— Pan doktór — mówiła — nie chciał znać nikogo ze swych wujów, ciotek, siostrzeńców i siostrzenic. Oni pana doktora nienawidzili, bo pan doktór nie pracował i tylko żył z pieniędzy, które dziadek pana doktora zostawił“.

Siostrzeniec zaprzeczał. Oczywiście! A szkło? Szkło było istotnie szkłem z jego binokli.

— „Co zaszło w ogrodzie?“

Siostrzeniec z całą bezczelnością wbrew wszelkiej oczywistości oświadczył, że w ogrodzie nie był.

Wujowie, ciotki, rodzina cała przysięga się na niewinność siostrzeńca. Zwołano radę rodzinną. Wyznaczono 20,000 marek nagrody za wykrycie istotnego sprawcy.

W dwie godziny po opublikowaniu nagrody, zjawił się przed obliczem komisarza jegomość, który zażądał zobowiązania na piśmie, że, o ile wyjaśni wypadek, to nagroda bezwarunkowo wypłacona mu zostanie.

Komisarz wyłożył na stół 20 000 marek.

— To ja właśnie jestem we własnej osobie — zakomunikował jegomość. — Każ mi pan zgolić moją sztuczną farbowaną rudą brodę i będziesz miał pan przed sobą tak zawzięcie poszukowanego doktora Wöhrmanna!

— Ależ panie...

— Ale nie mów pan nic — przerwał doktór Wöhrmann. — Bardzo mi przykro, że z mojej przyczyny miał pan tyle kłopotu i zajęcia, lecz doprawdy nie prosiłem pana o to. W rezultacie każdy wolny obywatel ma prawo, o ile mu się tak spodoba, wyskoczyć przez okno swojej willi, w ogrodzie zagrzebać w ziemi szkiełko z binokli swego siostrzeńca, przejść później przez mur ogrodu i przez pewien czas być inkognito. —

— To znaczy... —

— To absolutnie nic nie znaczy. To była samoobrona. Moja miła rodzinka, pomimo wszelkich moich protestów, poprostu przeprowadziła przyaresztowanie dziedzictwa po moim dziadku i zamknięcie dalszych wypłat, pod pretekstem mojej rzekomej rozrzutności. Musiałbym się przez całe miesiące procesować. Po co? Zainscenizowałem swe własne morderstwo z wplątaniem w sprawę jednego z członków mojej miłej rodziny i na tej drodze w końcu doprowadziłem miłą rodzinę do wyznaczenia nagrody za wykrycie sprawcy. Te oto pieniądze stanowią właśnie należną mi jeszcze część dziedzictwa. Czy mogę je wziąć?

Komisarz siedział blady za stołem. Później otrząsnął się nagle; później poprawił krawat tym ruchem charakterystycznym, który zwykł był czynić, gdy zdarzało mu się coś szczególnie niemiłego uniósł się nieco na krześle i rzekł:

— Sądzę, panie doktorze, że nic nie stoi na przeszkodzie, by pan podjął wynagrodzenie, które się panu należy.

Poczem komisarz pochylił głowę na znak, że rozmowa jest skończona.

W dwa tygodnie później siostrzeniec dokora Wöhrmanna został aresztowany powtórnie.

Lecz tym razem, po krótkiej wymianie słów, zamordował on swego wujaszka naprawdę...